

ABC literacko-artystyczne

Staly dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Plaseckiego

Rok III.

Niedziela 26 sierpnia 1934 r.

Nr. 35

Zdzisław Bronce!

Dom w słońcu



„Dom w słońcu“

W gorący, sierpniowy wieczór przypominam sobie odwiedzin u Gustawa Morcinka. Księżyc jest wielki jak nigdy. Nawet ciepły wiatr dziś nie wieje. Topola pod oknem stoi nieruchoma, ciemną, cyprysową kolumną dekoruje srebrzyste niebo — droga wyszcielona jest wzorzystą, w pręgi ciemne i jasne, makatą, nad krajobrazem zaczerpniętym, milczącym, jak zaklęty świat w bajce o szklanej górze, przechadza się księżyc. Wstępuje lekko w górę, przepływa nad białymi willami, zagląda w ogródki i zazdrosny jest o róże, które nie chcą rozkwitnąć pod jego światłem. Więc zmienia im kolory.

Różne białe stają się czyste jak lilje, różowe osypane zostały srebrnym puchem, czerwone zmieniają się w lśniącą, gładką czerni rzeźb z kamienia i z metalu. W zielonych ścianach żywopłotu dzikiego wina liście odwracają się i i bladą powierzchnią spódów patrzą w stronę blasku. Na kwiatowych rabatach — dalej, zbudzone, rozrzucają rude i złote rozwichrzenia. Światło pociąga framugi okien śnieżnym lakierem. Dachy, ustawione z ceglanych tafelek, są brązowe, koloru mosiądzu — nie, jaśniejsze — koloru jesiennych liści, i rosną coraz wyżej, podnoszą faliste grzbiety, obciążone małymi, śmiesznymi kominami, robią się coraz bardziej spiczaste, aż wreszcie toną w mgłę migocącego nieba.

Z wysoka rzędy dachów wyglądają jak fale. Księżyc wydaje się przyciągać całe to morze dachów. Jasne ich ściany maleją, giną w cieniach, przepadają, dachy gotują się do odlotu — płoszy je tylko odgłos kroków, wiążąc je muzyką, jaka wylała się nagle z okna na fasjacie i śpiewa dzwoniącym głosem.

Na niebie wyciągnęła się długa chmura. Sięgnęła dłońmi po księżyc. Zabrała go. Czarne niebo ogarnęło wszystko. Jest ciemno.

I przypomniał mi się dom Morcinka... Podobny jest do tych, które dopiero co wykradał sobie księżyc. Wieczorem na tle dalekiego tła Beskidów musi wyglądać tak samo. Tak samo dalej w ogrodzie pienia się wzburzonemu kwiatami, tak samo jasno wznoszą się ściany, a dach „morcinkowskiej chalupy“ jest tak wysoki i tak czerwony, że widać go zdaleka, podjeżdżając do Skoczowa.

Stoi ten młody dom, pisarska chudoba, na wzgórku. Garb pola podnosi się nad szosą, niedaleko od miasteczka. Z czystych, porządných ulic, bo to Cieszyński Śląsk, maszeruje się drogą w południową stronę, mierz się krokami paszosi i ciągle, zaraz jak wyjść za miasto, widać jasny profil domu. Odegiął się wyraźnie od reszty, poszedł swobodnie w polu, umieścił się tam, gdzie nie mu nie zasłoni blasku pełni księżyca i źródło słonecznego południa. Gdzie nie nie ma, nie przekreśliła, nie przesłania widoku Beskidów.

Teraz, gdy zbliża się jesień, buki na beskidzkich stokach zrudzieją, będzie ku nim patrzył pan Morcinek, będzie się uśmiechał i

ani wierzył własnym oczom, że coś podobnego może być na świecie. W sierpniowy wieczór, przy spadających gwiazdach, stanie na balkonie domu i znów ani uwierzy, że tak jest pięknie, i że dom jest jego własny, najwłaśniejszy, na amen, do śmierci.

A o godzinie 12 w południe, wtedy, gdy morcinkowe radio zanosi się hejnałem z wieszy Marjackiej i ciężko wali dwanaście uderzeń zegara, znów Morcinek stanie przed domem, popatrzy na poletko kartofli, dzielące plot od drogi, pomyśli — warto by to przykupić — obróci się twarzą ku górom, obróci się twarzą ku domowi, zauważy, jakie słońca na ścianach są wyrzeźbane w drzewie, i zastanowi się — że też to ludzie nazwali: dom w słońcu!

Nawet skoczowscy Niemcy mówią: Das Haus in der Sonne. A skąd się ten dom wziął? Musi nam Morcinek opowiedzieć. I to koniecznie, gdyż ten dom, to ważna sprawa. Kiedy Morcinka w domu niema, dom za niego mówi. Więc niebylejaki musi być.

Niebylejaki. Strzeże go opiekunicy duch. Siostra. Mieszka w nim ktoś, komu się Morcinek nisko kłania. Schyla się do kolan, do starych, urobionych, wdowich rąk. Matka.

Morcinkowa siostra, panna Tereska — tak ją nazywają, jak Skoczów długi i szeroki — z radością wita gości.

— A wam tu zaraz trzeba coś dać! A obiad u nas zjecie?... Chodźcie do środka! Nie wymlawiajcie się. Guścika niema teraz, ale napewno was nie puścił. Prosimy, pięknie prosimy.

Pod ścianami ciemne meble, sofa, tapczan. Wielkie biurko w rogu — dwoje okien patrzy na nie z dwóch ścian. Na biurku porządek, oszukańczy porządek, skoro wyda się tajemnicze, że Morcinek właściwie gdzieś indziej pracuje. Na haftowanej serwetce stoi lampa naftowa. Ma Morcinek w domu elektryczność, a jakże, najnowocześniejsze żyrandole wiszą od sufitu i zgrabne bakelitowe kontakty poprzybijają sobie na ścianach, ta tylko bieda, że prądu niema. Więc się świeci naftą.

— Guścika bardzo od tej nafty oczy boją, nie mielibyśmy dobrej lampy, więc Gustlikowi od Jeinknerów pożyczaliśmy — tłumaczy panna Tereska.

Idziemy na górę, prowadzeni przez pannę Tereskę, po schodach, wyłożonych chodnikiem. Najbliższe panny Tereski marzenie, przyczepić ten chodnik i osiągnięci pretami. Wyczyścić, będą jak złoto wyglądać.

Góra — są to przedewszystkiem dwa osobiste pokoje Morcinka. Jeden jest podłużny i wąski i stanowi pracownię, drugi szeroki i obszerny, jeszcze nie ułożony zupełnie, jest sypialnią. W pracowni — przy oknie, w kącie pokoju niewielki stół — sekretarzyk. Osobno stoi maszyna do pisania. Jest tu znów szafa na książki, w której szufladach przyjaciółce poukładali Morcinkowi wycinki z prasy i rękopisy powieści, jest też przytulny, kafilowy, ciemno-zielony piecyk, za którym zwykła siadywać matka Morcinka.

Wieczorem: zimowym nastają takie ciche chwile. Za oknem śnieg. Beskidy białe, jak lodowe góry, wiatr hula, — świat dymy zawiąza, a zaś w morcinkowej „chalupie“ buzuje ogień, na dele panna Tereska gotuje na stole wicezerze, na pięterku — pan Gustlik grzebie w papierach, stukając na maszynie, pani matka siedzą w kątku, nalożyli okulary, czytają gazetę. Co też tam ów synek-morcinek nowego wymyślił, nowego wypisał?

Ulubiony kot Mruczek, znany całemu światu dziecięcemu z felietonów w radio, grzeje się przy piecu. Albo też panu Gustlikowi, odzianemu w miękki pullover siada na kolanach...

Otóż i rejuwach na dole! Gospodarz! Panna Tereska biegnie po schodach.

— Guścik! Guścik! Toż ty się ucieszysz! Patrzaj — pan profesor Jesionowski jest u ciebie i ten pan z Warszawy, z ABC!

Jadalnia. Siadamy przy stole i gadamy. O czym? O domu.

Zazdrościmy Morcinkowi „chalupy“. A on się tłumaczy:

— Domek raczej siostra budowała, niż ja. Ja jakoś nie wierzyłem, że można mieć swój własny. Siostra zakręcała się koło tego, a że była nagroda literacka województwa śląskiego (12,500 zł.), więc było oparcie i podnieta do budowania. Kiedy stałem się właścicielem domku odkryłem w sobie rzecz ciekawą i niespodziewaną. Oto odkryłem w sobie jakiś rzewny sentyment do ziemi. Że ziemia i ja, to jedno i to samo. Że ziemia żyje, że ma serce jak człowiek i krew jak czło-

ka z tajnej strony. Od strony wewnętrznej. Od strony duszy. Ale to nie wszystko. Śni mi się jeszcze praca o kopalni, gdzie bohaterem będzie sama kopalnia i naczelny jej dyrektor.

— Jakże to? Matkować?

— Ano tak. Mam wielu przyjaciół. Mam też wiele niewiast starszych o wysokiej kulturze, przedewszystkiem panią Zofję Kossak - Szczucką, do których odnoszę się wciąż jak synek do matki. Choć czasem niewiasta wcale nie jest starsza, tylko młodsza i od biedy mogłaby być moją córką. A widać, że tym niewiastom młodszy i starszy odpowiadają ta rola, że to dla nich uzupełnienie jakiegoś instynktu macierzyństwa, bo chętnie się jej podejmują i matkują mi gorliwie.

— Doprawdy?

— Z sercem na dłoni, a w tem

nadesłanych powieści, tak się szczerze radowała, jakby to był jej sukces.

— Zdaje się równie ważną zmianą w życiu, jak wejście do literatury, było dla Pana wstąpienie do seminarjum nauczycielskiego?

— To było tak. Najpierw byłem w szkole powszechnej. Pochłaniałem wtedy książki bez żadnego wyboru. Obok „Żywotów Świętych“ Skargi i Słowackiego czytałem t. zw. Schundromany, różne Leśne Różycki czyli Tajemnice żebraka i podobne bzdury, wydawane w pokątnych drukarenkach żydowskich gdzieś w Chrzanowie, a kolportowane wśród górników przez różne czarne i kudłate charakterystyki z zbrojeckich gębami. Były to powieści ciągnące się przez kilkadziesiąt t. zw. zeszytów, urywających się naprzekład w takim miejscu: „Arnold podniósł nóż i już go miał utopić w piersi niewiernej Elfrydy, gdy... Dalszy ciąg nastąpi za tydzień“.

Potem byłem także górnikiem. Przez trzy lata, w kopalni i na powierzchni. W kopalni przechodziłem zwykłą hierarchię górniczą, rozpoczynając karierę od t. zw. polewacza. Taki chłopiec, polewający ganki i pył na ścianach, żeby zopobiec ewentualnemu pożarowi w razie wybuchu gazów, metanu albo CO. Poprzez ślepra, czyli takiego górnika, co woził urobek w taczkach w niskich gankach, a czego cechą był stałe odarty grzbiet z dużymi stopami, doszedłem do t. zw. łobuwa, wrzucającego urobek do wagoników.

Potem?... Potem pracowałem na powierzchni w kotłowni i przy maszynach na wetterszachcie, wiatrowym szybie, a stamtąd poszedłem za namową górników do szkoły. Górnicy dopomagali mi finansowo, żywo interesowali się moimi postępami i łagodnie przemawiali od pieronów, kiedy świadectwa ze szkoły nie były po ich myśli.

— Wspomagali pana górnicy. Czy pan nie miał wtedy rodzinne domu?

— Był, ale musiałem sam sobie radę dawać, odkąd ojciec zginął pod ziemią. Górniczą śmiercią.

— A czemu nie zawsze panu wiodło się w szkole? Odcigało coś pana od nauki?

— Wciąż Słowackiego czytałem i swoje pragnienia ujmowałem wtedy w takie groteskowe życzenie: — Pierona, żeby też tak mój pięknie pisać, jak Słowacki!...

Dużą rolę już wtedy — patrzcie państwo, taki młody a już — podzartował Morcinek (pewnie dla osłony, musiło go coś w sercu tknąć!) — odegrała kobieta. No, raczej młoda dziewczyna, tamta Bronka Oczkowska z „Wyrabancgo chodnika“, okropne wybiokno w której zadurzyłem się bez pamięci. Była to Jugendliebe, polegająca raczej na rzewnym wdychaniu i uwielbianiu, aniżeli na czymkolwiek innym. Cóż, kiedy ta nie-moja Bronka poszła do pensjonatu, wróciła w kapeluszu, z parasolką i torebką, straszna dama i kiedy ją spotkałem, wracając ze szczyty umorusany, boso, kudłaty — z rozchełstaną koszulą — to ona wydeła drobne usteczka, spojrzęła na mnie z pogardą od stóp do głów, czy odwrotnie i odwróciła się, a jej koleżanka powiedziała mi, żebym sobie poszedł, gdzie pieprz rośnie, bo Bronka nie potrzebuje z takim zamazanym hawierzem rządzić... (Z takim umorusanym górnikiem rozmawiać).

— A dalej, co dalej?

— A pierona jasnego!... Powiedziałem sobie i postanowiłem, jeżeli już nie zdobyć wzajemności dumnej Bronki, to przynajmniej zaimponować jej czemkolwiek. No i poszedłem do szkoły, a Bronka się cudowała i wciąż cuduje. Posłałem jej pierwszą swoją książkę, z dopiskiem, że prze-



Matka pisarza.

ślałem jej pierwsze nasze dziecko. Uradowała się dziewczyna. (Bo Bronka zamaż nie wyszła).

— I tak już od tego „pierwszego dziecka“ szły książki coraz nowe? Wszystkie sprawiły panu tyle radości, co pierwsza?

— Największym dla mnie zadowoleniem — przekonać się, że któraś z moich książeczek poszła gdzieś w świat do nieznanych mi ludzi i zdołała trafić do serca, że tam ktoś czytał ją z bijącym sercem, czy ze wzruszeniem, czy choćby z sentymentalną leką. A przedewszystkiem, że książka ta zdołała komuś przynieść wiarę w ludzi i w siebie. Są książki — nierządnicie i książki cnotliwe. Książki chore i zdrowe. Mnie cieszy książka, co ma serce w sobie i dąży do słońca. Jak najwięcej serca i jaknajwięcej słońca. By ludzie czuli się dobrze w jej towarzystwie. Taksamo, jak w towarzystwie ludzi mądrych a dobrych i jak podczas słonecznego poranka letniego. Niech książki będą podobne do moich Beskidów, o których mówi legenda, że kiedy je Pan Bóg stwarzał, uśmiechał się i Beskidy powstały z Boskiego uśmiechu.

— Już też chyba pańskie książki są takie, bo przyjaciół nie brak panu na świecie.

— Prawda. To jest taka rzecz, którą nie powstydzę się chwalić. Coprawda nie jest człowiekiem prokiem we własnym kraju, co mi się wśród otoczenia nieraz sprawdza, ale zato po różnych krańcach Polski mam przyjaciół coniemniara. Zwłaszcza wśród młodych szkolnej. Dziewczyny i chłopcy. Pani Degen-Słómerska, dyrektorka gimnazjum we Włodawku i jej wszystkie uczennice, to jedna moja wielka rodzina. Jest potem Rybnik, Bielsko, Cieszyń, Dąbrowa Górnicza, Białystok, Toruń, Pszczyna, Król-Huta i w innych. Czasem mam, miły zresztą, kłopot z listami. Lecz te listy lubię, bardzo lubię, bo są proste i szczerze. W listach bywają dowody drobnej pamięci. Zakładki do książek, własnoręcznie wyhaftowane, fotografie, nalepki łowicze, bywa i poduszka, i obrus i miły Bóg wie, co jeszcze. A przedewszystkiem bywają ogromnie kochane i złote serca młode. Przepadam za niemi.

Słyszycie! Słyszycie młodzi takie wyznanie! I wy wszyscy starzy, w których się ostał kęs młodości serca! Czyż nie odpowiedzieć na nie? Nie napięzcie do Morcinka?

A chcecie wiedzieć sekret, powiem, jak trzeba pisać, żeby mu sprawić przyjemność. Na adresie wypisać: „Skoczów. Dom w słońcu“, a nie zaczynając listu przez „Szanowny“ tylko od „Rozmiliły“...

Tak. Trzeba do Morcinka list wysłać i przeprosić, że bez uroczystej pompy, jeno trochę po prostu i trochę po pierośku, napisał się ten wywiad z najtęższym pisarzem Śląska, z poetą pracy i serca, z laureatem, który czarując, zbrudzeni węgłem rękoma kuje w literaturze ucztwie rytu imię.



Gustaw Morcinek

wiek. Że jej serce a moje serce są czemś powiązane.

— A teraz co tam się pisze w pańskim pokoju na górze? „Ondraszek“?

— Hm, majstruję już tego „Ondraszka“ od dawna, a nie mogę dojść do końca (kot poszedł do Morcinka i trze się o nogę). Ma to być powieść. Powieść historyczna z wieku XVII i z początku XVIII. Bohaterem jest Ondraszek, śląski Janosik i Kostka Napierski w jednej osobie. Spozrzegam, że trzeba wiele szpargałów przewertować, często czekać na przypadek, by coś wpadło do ręki, a co by można wykorzystać w tej robocie. Ale napiszę — być może, że na przyszły rok już się będzie „Ondraszek“ parzył w księgarni. W witrynie. Pozatem myślę napisać powieść o naszym polskim nauczycielstwie. O nauczycielu i nauczycielce. O szkole, o dzieciach, o warunkach pracy, władzach i tak dalej. Tytuł już mam: „Wycrane kamienie“.

— Skąd panu przyszedł na myśl taki kamienisty, znojny tytuł?

— Kiedy raz byłem w Poznaniu, widziałem na drodze wyrwane kamienie, które kamieniarz rozwałił młotem. To ten właśnie obraz podsunął mi tytuł i plan powieści. Będą więc w y o r a n e kamienie.

— Ponieważ jestem z zawodu bakalarzem, podejść do dzie-

sercu miod rzetelny się przelewa szczerze dla ich synka Morcinka. I raduję się moimi sukcesami.

— A pan sam raduje się? Na przykład — kiedy tak przyszły pierwsze egzemplarze pierwszej książki w życiu?

— Przyszła ich duża paczka. „Serce za tamą“ — to było. Aż około 30 sztuk. Rozłożyłem je na podłodze i dotykałem palcami i wciąż się dziwiłem, że to moje, że to ja pisalem.

— A jak wogóle do pisania doszło?

— Otóż sam nie wiem, kiedy zacząłem pisać. Pisałem przedewszystkiem — jak mi mawiano — tak ładne listy, że dziewczyna, co je otrzymywała, beczła z radości. I kochała się we mnie tylko dla tych listów.

Wiem, że napisałem raz jakiś artykuł, czy felieton, czy jakby to nazwać, w prasie lokalnej, na temat przewrotu na Śląsku Cieszyńskim. Czytała to Kossak - Szczucka, dostała mnie w pociąg i dalej mi tłumaczyła, że mam... talent. Za jej zachętą jałem odtąd pisać już świadomie, wciąż pod kontrolą Pani Szczuckiej, która nie ustawała w namowach, by pisać, a niczego się nie bać. A kiedy, za powieść „Byli dwaj bracia“, napisaną pod jej namową, dostałem pierwszą nagrodę na konkursie Przewodnika Katolickiego w Poznaniu, pierwszą nagrodę spośród 167 innych